



Do parku

Po szynach pędzą czerwone tramwaje:
Dzyń... dzyń... dzyń! Z drogi! A lakiero-
wane samochody: Tu,, tu,, tu,, Z drogi!

My idziemy chodnikiem parami i
nucimy: Idziemy do parku bawić się we-
soło. Będziem skakać , będziem tańczyć
szeregiem lub w koło. Aż tu zaszumią,
zapachniało zielenią. Kasztany wysunę-
ły z za parkanu gałęzie:

— Szu... szu... Dzieci do nas idą,

Dzisiaj lekcji już nie będzie,
dzisiaj cała nasza klasa
w parku, tam gdzie są łabędzie,
wesolutko sobie hasa.

Nie deptemy ślicznej trawki,
nie zrywamy kwiatów z grządek,
Chociaż nikt nie patrzy z ławki,
sami dbamy o porządek.

Można gonić się po ścieżkach,
zbierać liście i kasztany,
A na stawie łabędź mieszka
śliczny, jak czarowany.

Wszystkie dzieci tam przystaną,
rzucą mu okruszki bułki.

Patrzcie, patrzcie! Nad fontanną
samoloty i jaskółki.

Gospodyni pod Łowiczem
wyzłociły się pszenice.
Wyzłociło je to słonko
uśmiechnięte ponad łąką.
Obok łąki przy zieleni
niebiesciutki len się mieni —
chyba go ten wiatr wypieścił,
że tak wkrąg się rozniebiescił.
A przy lnie, wśród łąków żyta
czerwoniutki mak rozkwita —
chyba mu ta tęcza zgóry,
użyczyła swej purpury.
Popatrzyła gospodyni
na to pole złote,
wydobyła z białej skrzyni
wełny jeden motek.
Popatrzyła gospodyni
na lnu zagon długi,
wydobyła z białej skrzyni

wełny motek drugi.
Przypomniała sobie tęczę,
wydobyła motków więcej:
taki, jak zagony,
jak zieleni na łące,
i jak mak — czerwony,
i złoty — jak słońce.
Jak się wzięła do roboty!
Ten niebieski i ten złoty;
jeden taki, drugi siaki
trzy spódnice, trzy pasiaki!
A jak się ubrała,
a jak wyszła w pole,
zazdrościła jej zieleni
cała łąka wdole.
Kłaniały się maki
i len się zachwycił,
po zagonach zachwycona
szumiała pszenica.

Ed. Szymański

Pawełek — „Zajączek”

— Kto widział zajączka? — pyta
Pani.

— Ja, ja i ja — wołają wszystkie dzie-
ci na wyszcigi.

— Doskonale, bawimy się w „zajacz-
ki”! — Ustawiła Pani na linji dzieci Wy-
znaczyła metę.

— Skaczymy wszyscy na czworakach,
jak zajączki. Ten „zajączek” wygra,
który pierwszy na mecie stanie.

Próbuje skoków Walek i przewraca
się, jak długi. Próbuje Adamek i wywró-
cił Anielkę.

Skoczył Pietrek i przechwała się:

— Będę na mecie pierwszy. Umiem
skakać najlepiej.

Ledwie to powiedział, a już na ziemi
leży i bęc nosem o kamień.

— Niezgraba, niedorajda — wyśmie-
wa się z niego Felek.

Jeden tylko chłopiec, najmniejszy ze
wszystkich, mały Pawełek, nie nie mówi.
Wytrwale skacze naprzód. Skacze rów-
no. Robi skoki długie.

Pawełek był pierwszy na mecie.
Wszystkim dzieciom podobały się skoki
Pawełka. Dały mu więc przydomek:
Pawełek — „Zajączek”.

LALKA

Widzę się małą dziewczynką,
W wielkim różanym ogrodzie,
Z blond włosów ładną czuprynką,
W gondoli płynącej po wodzie.
Lalkę mam śliczną — marzenie.
Rodzoną moją siostrzyczkę,
Lalka się śmieje i płacze
I ma zasępioną twarzączkę.
Lalce na imię jest Róża,
Błękitne oczka ma ładne,
Lalka jest wiotka i duża
I pisze wierszyki składne.
Lalka zasypia wraz ze mną
Nocą w bękitnym łóżeczku,
Bajeczki płyną w dal ciemną
O szaro - burym kocieczku.
Bym zasnąć mogła czempredzej
Lalka w fotelu zasiada
I robi honory domu,
Z grzechów się wypowiada.
Świta już ranek na świecie,

Mamusia mówi, kochanie,
Jasny warkoczyk mi plecie
Niechże Jasieńka już wstanie.
Święta — już tylko co patrzeć
Dziadzius i babcia przyjedzie,
Dziadzius - jak zwykle — prezencik
Przy każdym poda obiedzie.
Babcia - kochana babusia,
Aż nadto mnie ukochała —
I wielka Lalka - Żabusia
Od babci mi się dostała.
A Lalka, moje kochanie,
Na święta prezent mi ściele —
Gdyż — za mąż wychodzi wkrótce
Zaprasza na swe wesele.
LALKA mnie pierwsza zdradziła,
Wychodząc za mąż — okrutna!
Sielanka tak się skończyła —
I takam w życiu dziś smutna.

Helena Dawidów



Dzieci i wiewiórka

Ruda wiewiórka! Ruda wiewiórka
skacze wesoło z drzewa na drzewo.
Z chwiejnej gałązki w zieleń da nurka
machnie ogonkiem w prawo i w lewo.
Zeszła na ziemię, nie się nie boi,
wie, że orzeszki mamy w kieszonkach.
Ol z ręki bierze! ol przy mnie stoi,
Z chwiejnej gałązki w zieleń da nurka,
Nikt jej nie skrzywdzi ani nie spłoszy
taka jest śliczna, ręczna i żywa!
Zjadła orzeszków za kilka groszy,
na pożegnanie ogonkiem kiwa.

Wróbel i wiewiórka

Stary wróbel - wszędobylski przysiadł
nie do drzemającej po obiedzie wiewiórki.
— Cwir... szkoda spać na taką pogodę!
A stara wiewiórka otworzyła biyszczące
ślepkę. Poruszyła posiwałym ogon-
kiem:
— A tak, pogoda ładna. Właśnie stare
czasy wspominałam. Ten wielki, szumiący
bór. Tam na świat przyszłam. Potem
mnie ludzie złapali i w klatce do miasta
przywieźli. Można i tutaj nieźle żyć. Ale
inny ten miejski bór niż nasz. Na dole
chodzą grzyby - kapelusze. A tam za mu-
rem ciągle te czerwone pudełka dzwonia i
dzwonia.

Wacek skrzywił się trochę i powiedział:

— Może myślicie, że się boję? Wcale nie! Pojadę także i koniec.

W ten sposób Wygwizdów został na okręcie. Okręt nazywał się „Wiktoria”. Była to fregata handlowa, przewożąca towar; pasażerów na niej nie było. Załoga była niewielka, ale sprawna i wyrobiona.

Okręt szedł pod parą, ale miał doskonałe ożaglowanie i w potrzebie mógł obejść się bez motoru. Słowem był to wymarzony statek do podróży i przegód.

Toteż cała czwórka wafesała się cały dzień po okręcie, ucząc się jęzuka angielskiego i nazw części składowych okrętu. Robili to tak starannie, aż mieszały się im różne grotmaszty, szpardeki, szpangoty, reje i szturwały.

Często też stawiali na pokładzie i patrzyli na długą smugę, ciągnącą się za okrętem, albo przyglądali się ptakom krążącym nad statkiem.

Wieczorem schodzili się w kajucie i każdy opowiadał co widział i czego się nauczył. Zapisywali sobie angielskie słowa i obok to, co one znaczą. W ten sposób niedługo mogli już porozumieć się jako tako z marynarzami.

Szczególniej ich zaciekawiał Krzywy Dżems, jak go nazywali marynarze.

— Powiadam wam, że ten człowiek musiał mieć nadzwyczajne przygody! — mówił Julek. — Muszę go wypytać, a potem opiszę...

— Wierszem — dodał Wacek.

— Żebyś wiedział!

Po pewnym czasie chłopcy mogli się już jako tako rozmówić z Dżemsem, choć jeszcze wielu słów nie rozumieli. Poprosili go jednak, żeby coś im opowiedział, na co Krzywy Dżems chętnie się zgodził.

Chłopcy długo milczeli. Po dobrej chwili szepnęła Mietek:

— Dlaczego oni tak ciągle biją się z tymi dzikimi? Jak nasz Beniowski był królem na Madagaskarze, to wszyscy dżicy go kochali. Ajak rząd francuski chciał im dokuczać, to on stał po ich stronie i zginął.

Krzywy Dżems spytał o czem mówią. Wytłomaczyli mu więc z trudem, o co chodzi.

— Ach, że bijemy się z temi diablami? — odpowiedział. — Nic dziwnego! Anglja ma tyle kolonij, że musi to wszystko w karbach trzymać. A czy wasz kraj ma kolonje?

Chłopcy stropili się trochę.



— Czy ja wiem? — mruzczał Julek. — Zdaje się, że w Brazylii... Czytałem coś, że w Paranie...

Mietek zerwał się naraz i za chwilę wrócił z atlasem. Krzywy Dżems uśmiechnął się krzywo:

— Czy ten wasz kraj będzie na mapie? — spytał.

— No, ja myślę! — krzyknął chórem Wygwizdów.

— To gdzieś pewno blisko Persji? — spytał jeden ze zgromadzonych marynarzy.

— Co? — oburzył się Julek. — Blisko Persji? Graniczymy z Niemcami i mamy ujście do morza Bałtyckiego. O, patrzcie!...

Tu Julek pokazał palcem na czerwoną plamę Polski w atlasie Mietka. Marynarze angielscy pochylili głowy.

— Ba! — krzyknął Krzywy Dżems. — Toż to mało co mniejsze od Anglii.

— A widzicie! — triumfował Mietek.

— A ile też ludności macie? — spytał jeden z marynarzy.

— Ludności?... — Wygwizdów spojrzął po sobie pytająco.

— A ile kilometrów ma wasz kraj?





— Czy macie swoją marynarkę?
— Ile okrętów macie?
Mietek całkiem czerwony mrucał niewyraźnie:
— Mam to gdzieś zapisane... Jutro może znajdzie...

Krzywy Dżems suwał pracowicie palcem po mapie i naraz zawołał:

— Hej, patrzcie-no! Wszystko co jest niebieskie na tej mapie — to angielskie! Szmat ziemi mamy, co?

— Ho, ho! Szmat ziemi! — potwierdzili marynarze.

— A gdzie wasze kolonie? — spytał znowu Krzywy Dżems.

Cała czwórka zaczęła szukać skwapliwie na mapie, ale po chwili Mietek bąknął:

— My... nie mamy... kolonji...

— A w Brazylii? — spytał szeptem Julek.

— Zdaje się, że tam jest nawet dużo Polaków — powiedział Mietek. — Ale kraj nie należy do nas.

Wieczorem tego dnia chłopcy długo rozmawiali.

Mietek mówił jakby nawpół do siebie:

— Każdy kraj ma kolonie po całym

6) świecie, a my nie. Siedzimy u siebie i nie wysadzamy nawet nosa na świat.

— To nie! — krzyknął Julek. — My założymy polską kolonię! Przecież jedziemy na prawdziwym okręcie i możemy mieć prawdziwe przygody!

— Tak, jedziemy na okręcie — mrknął Mietek. — Ale ten okręt płynie pod obcym sztandarem.

Chłopcy zamysłili się poważnie.

A szczególnie dziwnie im było, kiedy słyszeli co wieczór, jak chór marynarzy śpiewa hymn angielski, pod rozwiniętym i trzepoczącym się na wietrze sztandarem.

Mietek chodził milczący, ze zwieszoną głową i nad czymś myślał usilnie, a Julek mrugał tajemniczo i mówił:

— Powiadam wam, że on coś wymyśli!

Jakoż wymyślił. Codzień zamykał się w kajucie na kilka godzin i coś majstrował, a przez ten czas Wygwizdów musiał spacerować po okręcie.

Za powrotem znajdowali tylko strzępki nici na podłodze, a Mietek siedział przy swoim plecaku, uśmiechnięty tajemniczo.

— Co ty tam masz w tym plecaku? — dopytywali go się.

— Zobaczycie! — odpowiadał Mietek.

I rzeczywiście zobaczyli.

Kiedy pewnego wieczoru rozległ się na pokładzie zwykły śpiew. Mietek wyjął coś z plecaka i powiedział krótko:

— Chodźmy!

Marynarze śpiewali hymn narodowy angielski „Boże, zachowaj nam króla”, a sztandar łopotał nad nimi dumnie.

Kiedy śpiew się skończyli marynarze zaczęli rozchodzić się, Mietek rozwinął swoje zawiniątko i powiedział:

— Wygwizdów za mną!

Stanęli niedaleko mostka kapitańskiego, nie wiedząc co mają dalej począć. Ale Mietek komenderował dalej:

— Wygwizdów, zbiórka w rozwiniętym!

Trójka stanęła sprawnie w szeregu. Wówczas Mietek zatknął uroczyście u nasady grot masztu wielką dwubarwną chorągiew.

— Aaa! — wyrwało się z trzech ust.

Mietek stanął na prawym skrzydle i skomenderował!

— Baa-czność! Czapki zdejm!

Cztery harcerekie czapki onadły sprawnie nadół.

— Jeszcze Polska nie zginęła! — półgłosem rozkazał Mietek.

I śmiała, dumna, ochocza pieśń popłynęła nad morskimi falami:

— Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy!...

(Dalszy ciąg nastąpi)

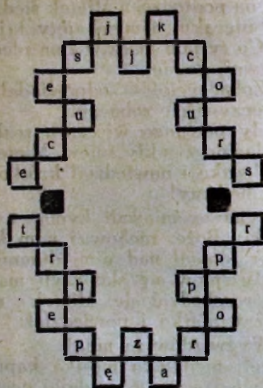


Pomyśl chwilę!

ZAGADKA

Powiedzcie, jeżeli wiecie,
wielcy i mali —
kto był największy na świecie
z małych kaprali?

LAMIGŁÓWKA



Odczytajmy jedno z praw harcerskich.

W tym celu wyszukajmy z kratek początkową literę zdania. I licząc od następnej do pięciu, dopisujemy literę z każdej piątej kratki. Całość utworzy nam zdanie — jedno z praw harcerskich.

Liczyć należy sąsiednie kratki w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

ZADANIE

Dwa oddziały, z których pierwszy liczył 625 ludzi, drugi 485, stoczyły bitwę. Liczniejszy oddział stracił w poległych tylu żołnierzy, ilu brakowało słabszemu oddziałowi przed bitwą dla równych sił. Słabszy oddział stracił tylu ludzi, ilu trzeba by odjąć liczniejszemu przed bitwą, aby bez zmiany ogólnej liczby walczących otrzymać równe siły. Który z oddziałów poniósł porażkę?

SZARADA

Pierwsza — przyimek w jednej literze.

Pierwszą i drugą gdy razem bierzesz,
otrzymasz domki, w których wesole,
gromadny żywot prowadzą pszczoły.
Trzecią otrzymasz stylu i sprzodu
w nazwie wielkiego polskiego grodu,
a całość w czasie jesieni
panuje na naszej ziemi.

ZAGADKA

Sześćdziesiąt biegnie pędem,
sześćdziesiąt szybko kroczy,
a dwa tuziny,
powolne dziewczyny,
przechodzą rzędem
w dzień i w nocy.

SZARADA

Pierwsza — to słoń prawie cały
Druga — żeński zaimbek.
Całość — jesienne chmury
w noc, czy w dzień biały
zsyłają zgóry,

O Wojtku cudaku

(Dokończenie)

I cieszyl się, kiedy wicher na wiosnę odął odzewa i słońce z deszczem pierwsze wypustki liści wyprowadzały, kiedy drzewa „kwitły”.

Nieraz tam jeszcze siostra i swagier o żenbie przepędzili, ale ta z tych przepowiedni nie nijako nie wyszło.

I żył Wojtek rok po roku, aż się ozniemógł. A ozniemógł się prawie wtedy, kiedy dwoje dzieci siostranych na łóżnicę chorowało i ostatek sam. Nikogo przy nim nie było w izdebce. Boby i nawet nie miał kim do siostry posłać.

Leży i leży na pościeli, jeść się nie chce, ale pić do usknięcia. A tu się dźwignąć nieporada, bo nogi jak z powróseł, a wody podać niema kto.

Minał dzień, minęła noc, mijają drugi dzień — Wojtek leży. Jesień była.

— He! — myśli sobie — kieby przecie haw wto przy mnie był, lekceją by było umierać. Trza będzie, widzem, przez ksiendza za brzyzek...

Bo Wojtek widział, że z nim źle i że śniego już nie.

Leży taki chory i wtedy sobie dopiero myśli:

Mięły Mocny kany! Dobrze — rzeka padała siostra: żeń sie, dobrze — rzeka — padała i swagier... Zje dyć kiebyk przecie haw babe miał, nie umierałoby się mi jako psu. Pusto koło mnie, jako koło safasa w zimie. Eć!

I tak się mu luto samego siebie stało, aż mu placki w oczach postajały.

W izbie tak cicho, jak w grobie. I ciemno. Wieczór nadchodził, a zapalić ka-ganka nie miał kto.

Wszystko się stało dziwne.

Ława, dwa stołki, co je Wojtek miał, stół, piec: wszystko się rozmglawiło i jakby ruchome stało.

Łazom na izbe, cy jako? — myślał Wojtek.

Okna się w ścianach poczęły chwiać, krzywać, pochylać to na prawo, to na lewo, to wdół, to wgórze. A za oknami eńa, mrakota, także falująca, niby woda w głębi ruchoma.

— Rzókbys, żeś do Wielgiego Stawu, do środka, z izbom, wjahal, a ono kieby wiatier wodom ode dna huział..

I coraz ślabiej się Wojtkowi czyniło, już mu się nawet pić chcieć ustawało,

tylko go straszny smutek brał, że tak samotny umiera.

— He — powtarzał sobie — he, kiebyk był usluhnon... Dobrze — rzeka — padała siostra, dobrze — rzeka — padał swagier... Zjedyjek teraz sam, jak suba limha pod siodle..)

Wtem przez okno, przez szyby, poczęła się do izby wsuwać czerwona galez bukowa. Patrzył Wojtek, a za nią jawor galezie wysła, wierba, skorusza..

A przez drzwi się pehaja olszyny, osiki, brzezina..

Liście czerwone, żółte, złoście..

I ziola przez próg suną liście — szczaw, bylica, krzewi się fioletowy wrzow...

I szafirowe małe jesienne goryczki, co tuż nad ziemią rosna, świecą się przy podłodze i mówią: teie! teie! i my haw jest!...

Zapaczerwienieło się, zażółciło, zakwitło we Wojtkowej izbie.

I tak umarł.

*) Siodło w tym razie oznacza jakąś przelęcz.

Na bolsku

Tuż przy szkole,
bardzo blisko,
mam, mam
swo bolsko.

Siatka wiał,
piłka w ruchu —
gra w siatkówkę
kilku zuchów.

W drugim końcu
śmiech i wrzawa —
wre wesola
tam zabawa.

Do szeregu,
więksi, mali!
Już do klasy
nas wezwali.

Marsz do szkoły, marsz!

13



Słonecznik — zwiastun jesieni

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze życie”, Riga — Dzirnau 57. „Krasnoludki”
Drukarnia „RITI”, Riga, Dzirnau ielā Nr. 57.